Nasz Dziennik Wtorek, 09 kwietnia 2013, Nr 83 (4622)

NAPROTECHNOLOGIA? TO DZIAŁA!

Z Alicją i Tomaszem Andreasikami z Bytomia rozmawia Marek Zygmunt

Państwa półroczna córeczka Sara jest żywym dowodem na skuteczność naprotechnologii. Jak długo czekali Państwo na dziecko?

Alicja Andreasik: – Kiedy po roku od zawarcia małżeństwa nie udało nam się począć dziecka, w sercu pojawił się ogromny niepokój, a nawet swego rodzaju rozgoryczenie. Staraliśmy się jednak prowadzić normalne życie, po prostu cierpliwie czekać. I to się opłaciło, bo po kilku miesiącach badanie poziomu hormonu beta hCG wykazało jednoznacznie, że poczęło się nasze dziecko. Byliśmy bardzo szczęśliwi. Niestety, nasza radość nie trwała długo. Maleństwo straciliśmy w piątym tygodniu ciąży. Ma na imię Aleksander.

Staraliśmy się być dzielni i silni. Ale jak się okazało, ja tylko chciałam taka być. Wpadłam w silną depresję. To był dla nas obojga najtrudniejszy okres, bo miałam wrażenie, że moje życie stanęło w miejscu. Wszystko zmieniło się pod koniec 2010 r., kiedy trafiliśmy do ginekolog dr Iwony Michnikowskiej-Grzegorczyk w Tarnowskich Górach. Nie chciała stosować antykoncepcji hormonalnej i nie malowała przed nami przyszłości z in vitro w tle, ale zaproponowała leczenie naprotechnologiczne. I tak się zaczęło. Skontaktowaliśmy się z dr Darią Mikułą-Wesołowską i dr Marcinem Wesołowskim z Bielska-Białej, którzy zaprosili nas na wykład o naprotechnologii.

I właśnie po tym wykładzie zdecydowali się Państwo na leczenie tą metodą?

A.A. – Pod koniec stycznia 2011 r. rozpoczęłam obserwację według modelu Creightona. Już po pierwszym cyklu, na podstawie mojej karty obserwacji, instruktor wskazał na przypuszczalne nieprawidłowości, które potwierdziły wyniki badań. Po drugim cyklu zostaliśmy skierowani do lekarza naprotechnologii dr. Adama Kuźnika ze Skoczowa. W ten sposób znaleźliśmy się pod opieką dwóch specjalistów od naprotechnologii: instruktora, który uczył nas metody obserwacji cyklu, korygował błędy w zapisie, przeprowadzał szczegółowe wywiady itp., oraz lekarza, który na tej podstawie podjął się leczenia. Kwestia ekonomiczna naszego leczenia była dużo korzystniejsza, niż przypuszczaliśmy, a jedyny minus finansowy wiązał się

z koniecznością wykonywania wszelkich badań prywatnie, bo Narodowy Fundusz Zdrowia niestety nie refunduje naprotechnologii.

Jak przebiegało dalsze leczenie?
A.A. – Było bardzo intensywne. Pojawiło się podejrzenie endometriozy. Wykryto i zaczęto leczenie szeregu nieprawidłowości w poziomie hormonów. Wskazano również na poważnie traktowaną w naprotechnologii nietolerancję pokarmową oraz zakażenie bakterią ureaplasma urealyticum. Pod znakiem zapytania stanęła konieczność wykonania laparoskopii, ale okazało się, że po wyleczeniu ureaplasmy od razu doszło do poczęcia. Było to we wrześniu 2011 roku. Nie mogliśmy uwierzyć swojemu szczęściu. Przecież leczenie było cały czas w toku, a „przygoda" z naprotechnologią trwała zaledwie osiem miesięcy. Wróciłam na prowadzenie ciąży do dr Michnikowskiej-Grzegorczyk, od której wszystko się zaczęło. Niestety i to dziecko Pan Bóg wziął szybko do siebie. Mimo że wszystkie wyniki badań były idealne, maleńkie serduszko przestało bić w dziewiątym tygodniu. Ma na imię Jan.

Po stracie drugiego dziecka zdecydowali się Państwo kontynuować terapię?
A.A. – Nasi lekarze wykazali się ogromną cierpliwością i pomału pozwolili mi dojść do siebie po stracie Jasia. Do leczenia wróciliśmy w grudniu 2011 r., a już w styczniu

2012 r. okazało się, że znowu jestem w stanie błogosławionym! Wróciłam ponownie do mojej pani ginekolog, a naprotechnolog dr Adam Kuźnik poprzez kontakt telefoniczny i e-mailowy na bieżąco ustalał dawkowanie hormonów. Było dla nas bardzo budujące i wręcz niespotykane, że w środowisku medycznym tych dwoje lekarzy właśnie w taki sposób konsultowało się ze sobą w naszej sprawie.
Na początku sytuacja była bardzo trudna. Konieczne okazało się intensywne wspomaganie ciąży przez lekarzy, szczególnie w pierwszym trymestrze. Chodziło głównie o leżenie, suplementację, przede wszystkim hormonu beta hCG, progesteronu w tabletkach i w zastrzykach, po które mąż jeździł do Czech. Potem było już coraz lepiej. I tak 3 września 2012 r. na świat przyszła nasza córeczka Sara, a my jesteśmy bardzo szczęśliwymi rodzicami.

Jak z perspektywy pięciu lat małżeństwa, przeżyć, które Państwa dotknęły, patrzycie na to, co Was spotkało?
Tomasz Andreasik: – Dzisiaj wiemy, że jesteśmy wielkimi szczęściarzami, choć na pewno tę radość widzimy inaczej niż w dniu naszego ślubu. Dziękujemy Panu Bogu, że umacniał naszą miłość we wszystkich tych wydarzeniach, za to, że postawił na naszej drodze lekarzy, którzy z Nim współpracują. Dziękujemy Chrystusowi za nasze dzieci, które czekają na nas w Niebie, i za naszą malutką Sarę. Dziękujemy także za

katolickie środki przekazu, a szczególnie za „Nasz Dziennik”, Radio Maryja, Telewizję Trwam, bo tylko z nich możemy czerpać wiarygodne informacje na temat naprotechnologii. W innych mediach ta kompleksowa metoda jest często pomijana lub wręcz fałszywie przedstawiana.

Co najbardziej przekonało Państwa do naprotechnologii?

A.A. – Zdecydowaliśmy się na tę metodę, ponieważ szuka ona przyczyn niepłodności, zamiast dawać doraźne, ale nieetyczne rozwiązanie (in vitro), które nie dotyka korzenia problemu. Dzięki bezinwazyjnej obserwacji pozwala wyciągnąć cenne wnioski. Bardzo ważny jest również fakt, że w tę metodę włączeni są oboje małżonkowie, dzięki czemu mogą się wzajemnie motywować.

Lekarze, którzy nas prowadzili, są ludźmi wierzącymi. Ten fakt pomógł nam otwierać się na życie w ufności, że nie wszystko zależy tylko od nas i że to Bóg jest tym, który daje życie i decyduje o śmierci. Chrystus pozwolił nam doświadczyć ufności, że to, co On nam daje, jest najlepsze, choć często ciężko to przyjąć. W naprotechnologii dziecko nie jest traktowane jak wymarzony produkt, ale dar, cud od Pana Boga. Nasza malutka Sara jest tego najlepszym potwierdzeniem.

Dziękuję za rozmowę.